



tota gatazka

i inne baśnie

Armoryka

ZŁOTA GAŁĄZKA
i inne baśnie

ZŁOTA GAŁĄZKA

i inne baśnie

*Hans Christian Andersen
Wilhelm i Jakub Grimm
Edward Leszczyński
Bolesław Londyński
Andrzej Sarwa*

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redaktor: Władysław Kot
Projekt okładki: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce: Gustave Doré (1832-1883) - *Illustration for Charles Perrault's La Belle au Bois Dormant from Histoires ou Contes du Temps passé: Les Contes de ma Mère l'Oye (1697). Gustave Doré's illustrations appear in an 1867 edition entitled Les Contes de Perrault. Third of six engravings (licencja public domain),*
źródło: <http://commons.wikimedia.org/wiki/Image:Labelle3.jpg>

Tytuł książki na okładce złożono czcionką – Burgundian.ttf i użyto inicjału Fraticelli.ttf, których autorem i właścicielem jest Dave Nalle, The Scriptorium, www.foncraft.com
Burgundian.ttf and Fraticelli.ttf font copyright 2008 by The Scriptorium, all rights reserved

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27–600 Sandomierz
tel (0–15) 833 21 41
e–mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978–83–60276–72–3

Edward Leszczyński

ZŁOTA GAŁĄZKA

powiastka fantastyczna

W Zaczarowanym Lesie

Rycerz Sławomir powracał z wyprawy krzyżowej, gdzie w krajach dalekich wiele łań tureckich pościła, walcząc z nieustraszonym męstwem o wyswobodzenie grobu Zbawiciela. Wiele ludów poznał, wiele miast zwiedził, wiele dziwom i cudom napatrzył się po drodze — a teraz na swoim wiernym białym koniu powracał do domu.

Powracał, ale nie śpieszno mu było. Przywykł już do owej włóczęgi po świecie, zasmakował w przygodach i niebezpieczeństwach, z których los szczęśliwy wyprowadził go zdrowym i całym.

Dziwne zaiste były te przygody. Spotykał wielkoludów i karłów, walczył szczęśliwie z potwornymi smokami, nocował w zamkach zaczarowanych, które o świcie rozpływały się jak mgła poranna. Nieomal dzień każdy przynosił mu nowe niespodziewane przygody.

Śniły mu się one teraz po nocach tak uporczywie i wyraźnie, że często zrywał się ze snu, chwytając za swoją szablę, myśląc, że jakiś potwór lub rycerz czyha na jego zgubę. Ale potworów i błędnych rycerzy już nie spotykał, kraj dookoła stawał się bardziej podobnym do znanych mu przed laty okolic; więc wiedział, że już powraca, że pewnie już nic niezwykłego w drodze powrotnej nie spotka.

Tak jadąc zwolnił biegu koniowi i było mu dziwnie marnotrośnie. Zapewne dawne troski i kłopoty czekają nań po powrocie. Wśród sąsiadów miał bowiem wiele nieprzyjaciół, którzy patrzyli z zawiścią na jego dostatki, a zazdrościli mu męstwa i sławy, jaką już w kraju potrafił sobie zdobyć.

Pod brzemieniem tych myśli pochylił Sławomir głowę i zagrożony w zadumie nie spostrzegł, że droga, którą jechał, stawała się coraz bardziej dzika i ponura, że duże czarne ptaki migają się w przestworzu, a z lasu do którego się zbliżał dolatywały głosy, podobne do płaczu dziecka i hukania puszczyka.

Dopiero w głębi lasu gałąź, zwisająca z drzewa, o którą zawadził szyszkami zbudziła go z tej zadumy.

Rozglądając się i pomyślał: gdyby to był las zaczarowany! Ale głosy, brzmiące przed chwilą, umilkły, w nieruchomym powietrzu liść żaden nie drgnął na gałęzce; tylko głuche stąpanie kopyt końskich mąciło ciszę, nadchodzącego wieczoru.

Dziwił się jeno rycerz, że jego koń, oswojony z wszelką drogą, niepokoi się z lekka i rzy lękliwie. Naraz zdało mu się, że słyszy jakieś głuche odgłosy, nie to człapanie miarowe a ciche. Koń szarpnął się niecierpliwie a rycerz odwróciwszy głowę spostrzegł szczególne zjawisko.

Tuż za nim na dużym białym jeleniu, którego rogi żółte świeciły w ciemnościach, jak promienie słoneczne, jechał prześlizgnięty młodzieniec.

Sławomir wstrzymał niespokojnego wierzchowca, a dziwny jeździec zrównał się z nim w tej chwili i oczy jak gwiazdy roziskrzono utkwili w jego obliczu.

— Bądź pozdrowiony rycerzu — odezwał się głosem tak melodyjnym i miękkim, jakim nikt a ludzi nie przemawiał na świecie. — Nie spieszno ci wracać do domu; wiem dobrze za jaką tęsknisz krainą. — Będę twym przewodnikiem; tam jedźmy, tą ścieżką na prawo.

— Kto jesteś? — spytał Sławomir.

— Po cóż ci znać moje imię? Wystarczy wiedzieć ci tyle, że kraj mój stąd niedaleko.

Zaledwie kilka kroków ujechali w milczeniu, gdy oto las przedtem ciemny i zmierzchem ponury, rozjaśnił się niespodzianie, jak gdyby w gąszczy onej rozlała się zorza słoneczna. Wkrótce zobaczył Sławomir, że wszystkie na drzewach liście są szczerozłote, a pnie i konary z ciemnego szafiru. Kiedy chciał się zapytać, co znaczą te dziwy, młodzieniec na białym jeleniu uśmiechnął się tajemniczo i wyciągnawszy rękę, zerwał z drzewa złocistą gałązkę, co miała dziewięć listków podłużnych z czerwono mieniącego się złota.

— Las, przez który jedziemy, złocistą bujną gęstwiną otacza cudną krainę. Śniła ci się ona nieraz po nocach, nie będzie zatem ci obca — nieprawda? W tej krainie mieszka prześliczna księżniczka, Widuna. Pałac jej już niedaleko. Dziś jeszcze możesz stanąć tam gościem.

Uradował się rycerz Sławomir i zaczął wdzięcznymi słowy dziękować za dobrą wróżbę, ale nieznany młodzieniec przerwał mu, mówiąc:

— Prawdę jest to, co rzekłem, lecz los swój sam w rękę trzymasz. Weź tę złotą gałązkę i strzeż jej przez całe życie. Cudowna kraina dziś jeszcze przyjmie cię w gościnę, jeśli z tego badyła zerwiesz trzy listki złote i za siebie porzucisz.

Sławomir już chciał to wykonać, lecz tajemniczy młodzieniec wstrzymał go nagłym ruchem:

— Zastanów się — mówił poważnie — i rozważ to w sobie, rycerzu, czyś gotów rzucić te listki, których bezkarnie nie zerwiesz. Miesiąc jeden przeżyjesz w upojeniu, lecz potem musisz powracać z pamięcią cudów widzianych do życia, którego

się lękaśz. Brzemień trosk i niepowodzeń, cierpienia i nie-szczęścia przygniotą twą duszę stęsknioną.

Posmutniał nieco Sławomir, a młodzian mówił dalej:

— Gałązka, którą ci dałem, patrz, listków złotych ma dzie-więć, trzy tylko zerwać masz teraz. W podobny sposób co roku powtórzy się na twe żądanie tajemny czar twojej doli. Lecz — dodał poważniejąc — coraz groźniejsze ciosy gotuje ci los nieubłagany. Więc niech cię wiara wspomaga. Zwątpienie przyniosłoby ci zgubę.

— A gdy już listków nie będzie? — przerwał z niepokojem Sławomir.

— Kiedy trzy lata upłyną i wszystkie listki już zerwiesz, zo-stanie ci badył złoty. Gdy ten przełamiesz odważnie w godzi-nie ostatniej próby, wypełnią się wreszcie twe losy.

Rycerz chciał prosić młodzieńca, aby mu tę przyszłość da-leką rozjaśnił, ale dziwny jeździec zawrócił białego jelenia i pochyliwszy się do jego uszu, jakby mu coś szeptał tajemnie, pędem szybkim, jak strzała, zniknął w gąszczu złocistym.

Zdumiony rycerz patrzył przez chwilę w to miejsce, gdzie jeszcze złote gałęzie chwiały się z tajemniczym szelestem.

Ten dziwny leśny jeździec — myślał w głębokiej zadumie — to szczęście, które doń przyszło. Miałżebym się go wyrzec z obawy trosk niezbadanych? Po roku może zaniecham nowe-go wyzwania losu, lecz teraz... i rękę wyciągnął ku listkom.

Zawahał się jeszcze przez chwilę, a potem ruchem stanow-czym zerwał trzy złote płatki i szybko rzucił za siebie.

W tej chwili wysoko ponad lasem rozbłysły przedziwne ognie. Snopy promieni rozpryskiwały się w migotliwe gwiazdy, to znowu barwnymi smugami wiązały się w przeróżne arabeski, niby ogniste i kolorowe wstęgi, falujące w przestworzu nie-bieskim.

Sławomir nie mógł się dość napatrzeć temu widowisku i a głową, podniesioną ku niebu, przedzierał się przez gąszcz złocistego lasu ku miejscu, skąd owe dziwy światła zdawały się wytryskać.

Naraz zagasło niebo, a rycerz zdumiony spostrzegł, że las się już kończy, a w niewielkiej przed nim odległości wznosi się wśród najbujniejszych ogrodów pałac wspaniały, cały ze srebra, złota i drogich kamieni. Perłowy dach lśnił się smugami tęczy, diamentowe okna płonęły, jak słońca, a z wnętrza rozbrzmiewała cudna muzyka.

W ogrodach księżniczki

Przez most zwodzony wjechał rycerz na dziedziniec, gdzie drożyna paziów, strojnych w czerwone, przetykane złotem szaty, wyszła na jego przyjęcie.

W zamku powitała go śliczna księżniczka, pani tej cudnej krainy.

— Już wszystko na tve przyjęcie gotowe — rzekła z czarującym uśmiechem, który jednak nie zdołał rozproszyc dziwnego smutku jej oczu. — Światła, które na niebie widziałeś, miały rozjaśnić ci drogę i moją radość wyrazić. Bądź miłym gościem w tych progach.

— O, pani mej duszy, cześć ci za słowa życzliwe. Któż ci zapowiedział moje przyjście?

— Złocista strzała z łuku owego młodzieńca, którego w lesie spotkałeś, przyniosła mi dobrą nowinę. Witaj i spocznij po trudach.

Natychmiast strojnie ubrana służba zaprowadziła rycerza do złoconej komnaty, a kiedy zdjawszy zbroję, po długiej podróży wypoczął, zawezwała go księżniczka do sali szmaragdowej na ucztę, złożoną z potraw przedziwnych, jakich dotąd nigdy w życiu nie jadł. W czasie uczy przygrywała niewidzialna kapela, a chór dziewic płaśał na srebrnej, gładkiej, jak lustro posadzce. Po skończonej biesiadzie odprowadził rycerza or-

szak usługnych paziów na spoczynek do komnaty, której powała lśniła, jak niebo, zasłane gwiazdami.

Przez wszystkie dni następne przemiała gospodyni urządziła na cześć swego gościa coraz to inne zabawy z muzyką co dzień bardziej czarującą i coraz to powabniejszymi tańcami. I z każdym dniem rosła ich miłość.

Godzinami całymi oprowadzała księżniczka ciekawego przybysza po obszarach zaklętej dziedziny. A był to jeden czarowny ogród, w którym rosły drzewa o kształtach przedziwnych i kwiaty upajające najcudowniejszą wonią. Wśród gazonów, porosłych bujną, pozłocistą murawą, olśniewały oczy rycerza czarodziejskie fontanny. Były między nimi i takie, które zamiast wody, migotały dokoła drobnutkiem pyłem tęczowych opalów, szemrząc łagodnym dźwiękiem najcudowniejszych harmonii.

Wśród tylu rozkosznych powabów zapominał Sławomir, że czas upływa; zapominał tym łatwiej, że w owym zaczarowanym królestwie słońce nie zachodziło, ani nie wschodziło. Łagodne światło napływało ustawicznie z pogodnego nieba, a rycerzowi zdawało się, że przygasa ono tylko wtedy, gdy księżniczka go opuszczała. Przycichał wtedy szmer opalowej fontanny, a kwiaty zadumane przymykały swoje kielichy. Więc nazwał rycerz jej znikanie zachodem, a przyjścia księżniczki po długich godzinach rozłączenia — wschodem.

W czasie, gdy jej nie widział, śnił o niej w komnacie, co miała powałę, jak niebo, zasiane gwiazdami.

— Czy noc zstępuje na ziemię z tą chwilą, co cię ode mnie odrywa? — pytał się zaniepokojony. — Gdzie jest komnata, w której spoczywasz? Czemu odchodzisz zawsze tak nagle, tak tajemniczo?

— Tu niema dnia ani nocy — odpowiadała Widuna. — Co cię obchodzi czas, póki żyjesz tu ze mną?

Wtedy zapominał rycerz, że czas opływa, a patrząc w smutne jej oczy uczuwał dziwną pewność, że zna księżnicz-

kę już dawno. Jej niewy tłumaczony smutek budził w nim niepokojącą myśli i przeczucia.

Przez dłuższy czas zbywała Widuna wszystkie pytania rycerza, dotyczące tajemnicy jej losów, milczeniem uporczywym i zagadkowym, zaklinając go, ażeby był wyrozumiały i cierpliwy. Raz wreszcie w pobliżu opalowej fontanny, zamyśliwszy się smętnie, tak rzekła:

— Cuda, jakie tu widzisz, zdają ci się najwyższą błogością, lecz wierz, że jest inna kraina, stokroć od tej piękniejsza. — Tęsknię, do niej tajemnie.

— Jestże to możliwe? Gdzież jest owa kraina? — zapytał rycerz zdziwiony.

— Posłuszna wyższym wyrokom nic więcej nie powiem ci o niej. Jeśli wytrwasz do końca na drodze, którą obrałeś, twój los odłoni ci kiedyś jej czary.

— A ty, czy nigdy do niej nie wejdiesz?

— Posłuchaj — rzekła królowa — czas nadszedł, byś o mych losach dowiedział się choć tyle, ile mi wolno powiedzieć. Zły czarnoksiężnik czyha na moją zgubę, lecz drogę do mnie zagradza mu las złocisty, otaczający te ogrody, i władca tego lasu, młodzieniec na białym jeleniu. Szafirowe kamienne konary, niby ramiona olbrzymów, zdusiłyby każdego śmiałka, który by samowolnie chciał wtargnąć w te dziedziny. Złociste gałęzie świerków, niby piły i gwoździe, poszarpałyby jego ciało; nawet piekielna moc czarnoksiężnika nie zmoże ich czujnej straży. Ale gdyby choć jedna złota gałązka z tego lasu dostała się w jego posiadanie — droga do mego zamku stałaby przed nim otworem. Strzeż więc twojego skarbu czujniej, niż oka własnego, albowiem nie wątpię, że zły czarnoksiężnik użyje wielkich sposobów, by go od ciebie wyłudzić.

Słyszając te słowa sposepniał Sławomir, a księżniczka mówiła dalej głosem stłumionym od nadmiaru tajonej boleści:

— Powiedziała ci to wszystko, bo za chwil kilka już z tobą mówić nie będę.

— Czemu mię dręczysz o ukochana! co masz na myśli, powiedz? — nalegał drżącym głosem zaniepokojony Sławomir?

— Nic nowego — odrzekła smutnie królowna. W rozkoszach moich ogrodów zapomniałeś, że czas upływa, a oto chwila nadeszła, w której musimy się rozstać.

— Przenigdy — zawołał rycerz.

Ale królowna ujęła go łagodnie za rękę i patrząc mu w oczy głęboko, mówiła głosem smutnym, lecz stanowczym:

— Nie chcej się sprzeciwiać wyższym wyrokom. Straszonym nieszczęściem okupilibyśmy oboje chwili oporu i zwłoki. Patrz tam na niebo, przed siebie. Za chwilę ujrzysz znak, co cię ode mnie oderwie — złocistą strzałę młodzieńca z czarodziejskiego lasu. Wtedy musimy się rozstać — ach, oby nie na zawsze! Nie zawieź we mnie tej nadziei! Tylko rycerz wybrany przynieść mi może wyzwolenie, jeśli przez moc miłości i tęsknoty zwycięży największe przeciwności losu i dotrze lotem pragnienia do granic królestwa najwyższej piękności. Bądź tym wybranym rycerzem! Prawdą jest, że cię kocham i prawdą jest twoja tęsknota, co cię w tę krainę przywiodła. Cokolwiek by temu przeczyło, kłamstwem będzie i podszeptem zwątpienia.

Umilkła królowna; w tych ostatnich chwilach nie znaleźli już oboje żadnego wyrazu. Spleceni niemy uściskiem stali ponad opalową fontanną, patrząc przerażonym wzrokiem przed siebie.

Naraz cudowna rakietą przekreśliła niebo łukiem złocistym. Złota struna zawisła przez chwilę w powietrzu, a potem rozprysnęła się w przestworzu w tysiące drobnych iskerek, które jak gwiazdy spadające rozleciały się na błękicie.

— Żegnaj ukochany! — szepnęła księżniczka wyrwawszy się z uścisku rycerza,

A kiedy Sławomir, jakby przykuty do miejsca przedłużał chwilę rozstania, uczuł nagle, że się pod nim ziemia zatrzęsła.

— Uchodź — zawołała Widuna — albo jesteście zgubieni!

Za chwile dosiadłszy swego rumaka, który na dziedzińcu zamkowym stał już osiodłany do drogi, opuszczał Sławomir zaczarowaną krainę.

Z żalością w sercu jechał rycerz powoli, schyliwszy głowę w zamyślenia głębokim, a gdy się po pewnym czasie odwrócił, by zamek czarodziejski ostatnim pożegnaniem spojrzaniem, nie ujrzał już kształtów cudownej budowy. W mroku wieczornym pogasły złote gałęzie, tylko daleko w tyle świeciły drzew wierzchołki nikłym, rdzawym poblaskiem dogasającej zorzy.

W końcu i to światło zagasło; ciemność nieprzejrzanej nocy ogarnęła las cały, a dziwne głosy, podobne do śmiechu niby wołania puszczyka rozlegały się z ubocza. Księżyc wschodził na niebie, gdy rycerz wyjeżdżał z lasu. Nikła poświata odsłoniła mu znane okolice. Wypocząwszy cokolwiek, wyruszył o świcie w dalszą znajomą już drogę.

Kiedy wreszcie dojeżdżał do tego miejsca, skąd w dzień pogodny moim już było dojrzeć rycerski zamek, który był jego siedzibą, stało już słońce wysoko na niebie. Toteż Sławomir zdziwił się nie mało, że nie widzi przed sobą zarysów wyniosłej budowli. Zdziwienie to zmieniło się w niepokój, a potem w pewność jakiejś straszliwej klęski, która zamek jego przodków zrównała z ziemią. Chcąc jak najprędzej spojrzeć prawdzie w oczy, zatrzymał się w najbliższej wiosce, a to co się od ludzi miejscowych dowiedział, odsłoniło mu straszną rzeczywistość. Oto w czasie jego nieobecności zawistny sąsiad, rycerz z dawna roszczący sobie prawa do granicznej włości, najechał zamek, nielicznych wiernych obrońców wymordował, a z dumnej siedziby jego ojców zostawił tylko gruz.

Stroskany rycerz spodziewał się, że u sąsiadów znajdzie przecie trochę życzliwości i poparcia, ale wszędzie przyjmowano go niechętnie — zawistny napastnik pozyskał był sobie stronników w całej okolicy. Przez pewien czas pocieszał się tym Sławomir, że znajdzie sprawiedliwość u króla, ale drogę do tronu zagradzały mu oszczerstwa, jakie jego przeciwnicy

na prawo i na lewo rozsiewali ku jego zgubie. Głoszono, że część swych włości uzyskał bezprawnie, że wiąże się z wrogami króla i kraju. Zła sława towarzyszyła mu wszędzie. Na koniec zniechęcony do ludzi, z goryczą i bólem w sercu, sprzedał konia i zbroję i pod nieznanym nazwiskiem wędrując w świat daleki szukał dla siebie służby.

I stało się, że on rycerz znakomity, niedawno jeszcze dziedzic rozległych obszarów, został prostym pacholkiem na książęcym dworze. Całym jego majątkiem był szczupły woreczek dukatów i owa złota gałązka, na której sześć złotych listków lśniło się tajemniczo. Pomny ostrzeżenia księżniczki nie rozstawał się z swoim skarbem, jedyną pociechą broniącą go przed zwątpieniem.

W państwie podziemnym

Z niecierpliwością liczył dni i tygodnie, oczekując tej chwili, która po upływie roku niedoli przenieść go miała w czarodziejską krainę nieznanymi upojeń i cudów. Obraz z czarowanej księżniczki śnił ma się często po nocach, a niekiedy na jawie olśniewał znienacka jego duszę przypomnieniem tak wyrazistym, że Sławomir rozglądał się mimo woli naokoło siebie, jak gdyby w pobliżu czuł jej żywą obecność.

Raz, kiedy w dalekim zakątku księżęcego parku błdził w głębokiej zadumie, ujrzał między drzewami dwie kobiece postacie, zbliżające się powoli ku niemu. Zawrócił w boczną ścieżkę i na chwilę stracił je z oczu. Naraz na skrócie ujrzał je tuż przed sobą i zachwiał się w nagłym olśnieniu. Zaczarowana księżniczka szła naprzeciw niego.

— Tyś to!? — krzyknął rycerz, zerwawszy się ku niej.

Z okrzykiem przerażenia cofnęły się obie kobiety. Błagalny głos Sławomira pomknął za uciekającymi:

— Nie lękaj się! przebóg! Tyś mię nie poznała! Czyż strój pacholka mógł mię tak zmienić w twych oczach? Spójrz! poznaj! najdroższa! Dla mnie opuściłaś swoje zakłete królestwo? Szukasz mię, prawda?!

Obie kobiety zwolniły kroku. Młodsza zatrzymała się mimo widocznego oporu towarzyszącej.

— Człowieku — rzekła, zwróciwszy się do Sławomira — jesteś w błędzie. Kobieta, której pewnie dawno nie widziałeś, musiała być do mnie podobna!

Zadrzał — spojrzął księżniczce w oczy, w te cudne oczy, które takim smutkiem patrzyły w zaczarowanej krainie; zimny ich blask zmroził mu duszę i oniemił usta.

Księżniczka zrobiła ruch do odejścia.

— Nie odchodź — wykrztusił wtedy z rozpaczą.

Ale ona już nie spojrzała na niego.

— To jakiś człowiek szalony — rzekła do towarzyszki — nieszczęśliwa miłość pomieszała mu rozum — i śpiesznym krokiem oddaliły się obie kobiety. Rozłożyste krzewy zasłoniły wkrótce ich postacie.

Sławomir stał przez chwilę jakby przykuty do miejsca. Groza i obłęd zaćmiły mu oczy. Kiedy wreszcie oprzytomniał, postanowił — żeby tylko się dało — wywiedzieć od ludzi miejscowych o losach księżniczki; nie wątpił bowiem ani przez chwilę, że ją to spotkał w książeńcym ogrodzie.

Ale to wszystko, cokolwiek usłyszał, nie przyczyniało się w niczym do rozwiązania niepokojącej zagadki. Mieszkał wprawdzie na książeńcym dworze ktoś, od kogo Sławomir mógł się spodziewać najwięcej w tej sprawie wskazówek, lecz rycerz bał się zbliżyć do niego.

Człowiek ten o chytrym a ponurym wyrazie uchodził za potężnego czarnoksiężnika; na dworze zażywał wielkiego poważania; we wszystkich ważniejszych sprawach zasięgał księżę jego rady. Pamiętając, że jakiś czarnoksiężnik czyha na zgubę księżniczki, postanowił Sławomir trzymać się z dala od tego człowieka.

Raz, kiedy rozmyślając nad swym losem, w głębokim ustroniu ogrodu wydobył złotą gałązkę, aby się jej blaskiem kojącym nacieszyć, usłyszał nagle za sobą skrzeczącym głosem wymówione wyrazy:

„Cacko, prawdziwe cacko!”

Szybkim ruchem chowając w zanadrze swój skarb, odwrócił się Sławomir.

Książęcy czarnoksiężnik stał za nim, patrząc się z szyderczym uśmiechem.

Spostrzegłszy niepokoi i zmieszanie rycerza mówił dalej głosem zmienionym, brzmiącym teraz dziwnie miękko i łagodnie:

— Zaufaj mi! Wiem dobrze, jaka troska cię gnębi. Księżniczka wspominała o swym spotkaniu i tobą, jak o dziwnej, niepokojącej przygodzie; ludzie zaczynają cię uważać za człowieka niezupełnie zdrowego na umyśle, miej się na baczności!

Niepohamowana rozpacz szarpnęła sercem rycerza.

— Więc może ty rozświecisz mi tę straszną tajemnicę — i zapominając kogo ma przed sobą, opowiedział swoje przygody w zaczarowanej krainie.

— Gałązka, którą posiadasz — rzekł czarodziej, wysłuchawszy opowieści rycerza — zerwana jest z drzewa złudy. Szatański majak cię opętał. Księżniczka cię nie zna i nigdy twoją nie będzie. Ale — nie rozpaczaj rycerza! Jeśli mi dasz tę gałązkę, oprzytomniejesz, jakby ze snu zbudzony. Zapomnisz — a ja mocą mej wiedzy tajemnej dam ci największe skarby w zamian za ową gałązkę.

— Przenigdy! — zawołał rycerz. — Nie złudą, ale prawdą lśni ten blask złocisty, co mię wiódł w cudną krainę. Odejdź! nie pragnę twych skarbów.

To rzekłszy, zerwał się z miejsca.

— Zobaczmy się jeszcze — zaskrzeczał za odchodzącym czarodziej.

Nie oglądając się za siebie, wybiegł Sławomir z ogrodu. Tego jeszcze dnia opuścił potajemnie dwór książęcy i poszedł, gdzie go oczy poniosły.

W rozpaczliwym swym położeniu krzepił się jedną nadzieją, że bliska jest już chwila, w której czar przemienienia dokonają się znów w jego losach.

Po kilku tygodniach błędnej wędrówki o chlebie i wodzie nadeszła upragniona godzina. Stojąc nad brzegiem nikłego strumyka zerwał Sławomir trzy złote listki i rzucił poza siebie. Listki stoczyły się po brzegu pochyłym i wpadły na dno strumyka.

W tej chwili woda zaczęła się burzyć, fale wznosiły się i rozlewały coraz szerzej. Zdziwiony rycerz spostrzegł, że dążą one w przeciwnym niż przedtem kierunku i dziwnie błękitnieją w swym biegu. Wkrótce na miejscu nikłego strumyka potężna cudowna rzeka płynęła szafirową wstęgą, szemrząc tajemniczo.

Naraz ujrzał na rzece jakiś przedmiot, którego z dużego oddalenia nie mógł przez chwilę rozeznaczyć. Przedmiot zbliżał się ku niemu, rósł w oczach, aż poznał rycerz, że była to olbrzymich rozmiarów koncha perłowa, płynąca po fali jak łódź.

Prąd wody niósł ją wprost do brzegu, ku miejscu, gdzie stał Sławomir.

Postąpił rycerz ku wodzie i śmiałym skokiem dostał się na konchę, która zachwiała się lekko i w tejże chwili pomknęła z biegiem rzeki z niesłychaną szybkością.

Cudna była ta jazda. Drzewa, kamienie, piaski i łąki nadbrzeżne uciekały sprzed oczu w niewstrzymanej gonitwie, a nowe dziwne krajobrazy, coraz bardziej górzyste, o poszarpanych liniach, coraz dziksze, wyłaniały się z przestrzeni. Szum rzeki szafirowej, świszczący pęd powietrza, oszołamiał zmysły przedziwnym rozgwarem. Zdawało się rycerzowi, że słyszy rozmaite głosy wyłaniające się z monotonnego dudnienia; jakoweś szepty, słowa, jakiejś dźwięki tak dziwne, a przecież jakoby znajome — jednoczyły się w jeden akord oszołomienia.

W dziką zakrętną dolinę między podskalne usypiska nadbrzeżnych turni wpłynęła koncha perłowa.

Naraz ujrzał Sławomir, jak spomiędzy mas skalnych wyłoniła się naprzeciw niego postać olbrzyma. Poznał, a raczej od-

gadł, że to zły czarnoksiężnik usiłuje zagrozić mu drogę. Ciałem, które wyolbrzymiało do rozmiarów skały wysokiej zaparł się w rumowiskach kamieni, chwyciwszy potwornymi rękami wierzchołek wystającej turni.

Było to miejsce, w którym rzeka, przeciskając się między wyrwami skalnymi, miotła się w biegu w szalonych podrzutach spienionego nurtu. Z przerażeniem spostrzegł Sławomir, że pod naciskiem niehumanicznych ramion olbrzymia przegibnął się turni wierzchołek i oderwany od swojej podstawy ranął na pochyłość skały. Sławomir przymknął oczy. Ogłaszający gruchot wstrząsnął powietrze. Zdało się rycerzowi, że wszystkie turnie wałęsają się mu na głowę. Szmerem sypiących się rumowisk przebrzmiały w górze grzmoty kamienne.

Rycerz otworzył oczy i ujrzał — z niezmiernym zdumieniem — kamienne sklepienie nad głową. Łożyskiem półmrocznego korytarza płynęła koncha perłowa.

Zrozumiał, co się stało. Oto tajemnicza rzeka znalazła drogę w podziemiu w chwili, gdy druzgocące głazy waliły się w jej koryto. Był uratowany.

Prąd ciemnoszafirowy płynął teraz zwięzonym korytem, zmieniając co chwila kierunek. Różowe światło — jakby od łuny pożarnej — rozjaśniało coraz to silniej ponury półmrok wąwozu. Rozglądając się uważnie spostrzegł Sławomir, że światłość ta promienieje z dużych czerwonych kamieni, tkwiących w ścianach podziemia. Wartkim nurtem niesiona wpłynęła łódź perłowa w obręb szerokiej przestrzeni, zalanej światłem jaśniejszym. Tajemnicza rzeka rozdzielała się tu na kilka drobnych strumyków, które wąskimi smugami ciemnoszafirowej barwy gubiły się w skalnych przyściennych czeluściach.

W malutkiej zatoce przy stopniach marmurowego tarasu zatrzymała się koncha, jak gdyby osiadła na mieliźnie.

Sławomir poznał, że miejsce, w którym się znajduje, tworzy jakoby dziedziniec jakiejś olbrzymiej budowli, wykutej w skałach podziemia. W kamiennej bramie za tarasem ukazał